



ALBATROS

ELIZABETH
JANE
HOWARD

LATA
OCZEKIWANIA

Tytuł oryginału:
THE CAZALET CHRONICLES #2: MARKING TIME

Copyright © Elizabeth Jane Howard 1991
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Fraç 2025

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: bbelkart794/Freepik (*kwiaty*);
maruf55777/Freepik i huseynariburnu/Freepik (*domy*);
migstc1/Freepik i GG Digital Arts (*elementy krajobrazu*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



HOME PLACE

Wrzesień 1939

Ktoś wyłączył radio i choć w salonie było pełno ludzi, zapadła kompletna cisza, w której Polly czuła i niemal słyszała bicie swojego serca. Dopóki nikt się nie odezwał i nie poruszył, panował spokój końca czasu pokoju...

Bryg pierwszy wykonał ruch. Polly patrzyła, jak dziadek – wciąż w ciszy – powoli się podnosi i staje, z jedną drżącą ręką na oparciu krzesła, drugą powoli przesuwając po zamglonych oczach. Po chwili przeszedł przez pokój i ucałował dwóch starszych synów, jej ojca Hugh i wujka Edwarda. Czekwała, aż pocałuje wujka Rupe'a, ale tego nie zrobił. Nigdy wcześniej nie widziała, by całował mężczyznę, lecz wyglądało to raczej na przeprosiny i salut. Za to, przez co przeszli ostatnim razem, gdy była wojna, i za to, że była ona bezcelowa, pomyślała Polly.

Wszystko widziała. Widziała, jak wujek Edward pochwycił spojrzenie jej ojca i przymrużył oko, a twarz ojca skurczyła się, jakby przypomniał sobie coś, o czym nie chciał pamiętać. Widziała, jak jej babcia siedzi wyprostowana, patrząc na wujka Ruperta z czymś w rodzaju ponurej złości. Duszka nie jest na niego zła, tylko boi się, że będzie musiał w tym uczestniczyć. Jest bardzo staroświecka i myśli, że wyłącznie mężczyźni muszą walczyć i umierać; nie rozumie. Polly wszystko rozumiała.

Dorośli zaczęli wiercić się na krzesłach, poszeptować, zapalać papierosy, mówić dzieciom, że mają iść się pobawić. Doszło

do najgorszego, a wszyscy zachowywali się mniej więcej tak samo jak zawsze. Tak właśnie postępowała jej rodzina, gdy źle się działo. Rok temu, kiedy ogłoszono „pokój z honorem”, wydawali się inni, ale wtedy Polly nie zdążyła dokładnie im się przyjrzeć, bo w chwili, gdy ogarnęło ją zdumienie i radość, poczuła się tak, jakby trafiła ją kula. Zemdląła. „Zrobiłaś się cała biała i jakby ślepa, i straciłaś przytomność. To było niesamowicie interesujące”, powiedziała jej kuzynka Clary. Clary odnotowała to zdarzenie w swojej *Księdze doświadczeń*, którą prowadziła, gdy akurat była pisarką. Teraz Polly poczuła na sobie jej wzrok i kiedy ich spojrzenia się spotkały, lekko skinęła głową na znak, że obie powinny się wynieść. W tej samej chwili z daleka dobiegło wycie syreny, jej kuzyn Teddy krzyknął: „Atak bombowy! Rany! Już!”, i wszyscy wstali. Bryg kazał im zabrać maski przeciwgazowe i czekać w holu, by razem udali się do schronu przeciwlotniczego, a Duszka poszła powiadomić służbę. Mama Polly, czyli ciocia Sybil, i ciocia Villy oznajmiły, że muszą pójść do Pear Tree Cottage po Willsa i Roly’ego, a ciocia Rach powiedziała, że musi wpaść do Mill Farm, by pomóc przełożonej w ewakuowaniu dzieci. Właściwie nikt nie zrobił tego, co kazał Bryg.

– Wezmę twoją maskę, jeśli chcesz zabrać swoje zapiski – zaproponowała Polly, gdy wraz z Clary przetrząsała sypialnię w poszukiwaniu kartonowych pudeł z maskami. – Cholera! Gdzie my je wcisnęliśmy?

Nadal szukały, kiedy syrena zawyła ponownie.

– Alarm odwołany! – krzyknął ktoś w holu.

– Falszywy alarm – mruknął Teddy, nie kryjąc rozczarowania.

– I tak byśmy niczego nie widzieli, tkwiąc w tym okropnym schronie – powiedział Neville. – I pewnie słyszałeś, że nasi rodzice wykorzystują wojnę jako wymówkę, żeby nie wozić nas na plażę, co uważam za największą niesprawiedliwość, o jakiej w życiu słyszałem.

– Nie bądź głupi, Neville! – warknęła Lydia miażdżącym

tonem. – Ludzie nie plażują w czasie wojny.

Polly pomyślała, że w domu panuje ogólnie kłótniwa atmosfera, chociaż na zewnątrz trwał łagodny wrześnieowy, niedzielny poranek, unosił się zapach palonych liści z ogniska rozpalonego przez McAlpine'a i wszystko wyglądało tak samo. Dzieci zostały odesłane z salonu: dorośli chcieli porozmawiać i oczywiście każdy, kto nie został zaliczony do ich grona, nie posiadał się z oburzenia.

– Jest inaczej niż wtedy, gdy opowiadają kawały i pękają ze śmiechu – zauważył Neville, gdy wyszli do holu.

Zanim ktokolwiek zdążył poprzeć lub skrytykować jego opinię, wujek Rupert wyjrzał z salonu i powiedział:

– Niech ci, którzy nie mogli znaleźć swoich masek, idą ich poszukać, a w przyszłości trzymają je w pokoju z bronią. Raz-dwa.

* * *

– Naprawdę nie cierpię, jak zaliczają mnie do dzieci – burknęła Louise, gdy szły do Mill Farm. – Będą tam siedzieć godzinami i planować za nas wszystkich, jakbyśmy byli zwykłymi pionkami w grze. Powinnyśmy przynajmniej mieć szansę na to, żeby sprzeciwić się ich ustaleniom, zanim staną się faktem dokonanym.

– Rzecz w tym, że z rodzicami trzeba się zgadzać, a potem robić to, co uważamy za słuszne – odparła Nora.

Louise podejrzewała, że oznacza to robienie tego, czego ona chce.

– Co zrobisz, kiedy skończymy szkołę? – zapytała.

– Nie wracam tam – oznajmiła Nora. – Zacznę się szkolić na pielęgniarkę.

– Nie! Zostań do Wielkanocy. Wtedy obie będziemy mogły odejść. Bez ciebie znienawidzę tę szkołę. A poza tym założę się, że na kursy dla pielęgniarek nie przyjmują siedemnastolatek.

– Mnie przyjmą. I nic ci nie będzie, Louise. Nie tęsknisz

już za domem. Najgorsze masz za sobą. Szkoda, że jesteś o rok młodsza, bo to oznacza, że będziesz musiała poczekać, aż zaczniesz być naprawdę użyteczna. Ale będziesz o wiele lepszą kucharką od mnie...

– Ode mnie – poprawiła ją automatycznie Louise.

– Tak czy siak, to przydatny fach. Będziesz mogła pracować w jednej ze służb jako kucharka.

Niezbyt zachęcająca perspektywa, pomyślała Louise. Wcale nie chciała być użyteczna. Chciała zostać wielką aktorką, co – jak już dobrze wiedziała – Nora uważała za niepoważne. Miały za sobą jedną może niezupełnie kłótnię, ale gorącą dyskusję, po której Louise zaczęła ostrożniej wypowiadać się o swoich planach na przyszłość. „Aktorki nie są potrzebne”, orzekła Nora, choć przyznała, że jeśli nie dojdzie do wojny, zawód Louise nie będzie miał większego znaczenia. Louise wzięła odwet, kwestionując przydatność zakonnicy (Nora wybrała to powołanie, lecz pomysł został zawieszony – częściowo dlatego, że w ubiegłym roku obiecała, że nie zostanie zakonnicy, jeśli nie dojdzie do wojny – i wykluczony z powodu zapotrzebowania na pielęgniarki). Nora powiedziała, że Louise nie rozumie znaczenia modlitwy i potrzeby istnienia ludzi, którzy poświęcają jej życie. Problem polegał na tym, że Louise nie obchodziło, czy świat potrzebuje aktorek, czy nie, po prostu chciała nią zostać, co stawiało ją w moralnie gorszej pozycji niż Norę. Co więcej, Nora zawsze uprzedzała każdą możliwość krytyki, nawet zawołowanej, wysuwając znacznie poważniejszy i bardziej nieprzyjemny argument. „Mam straszny problem z pychą”, mawiała. Albo: „Przypuszczam, że jeśli kiedykolwiek zbliżę się do przyjęcia na nowicjuskę, to moje żalosne samozadowolenie mnie zdyskwalifikuje”. Co można na to powiedzieć? Zresztą Louise naprawdę nie chciała poznać siebie z taką straszną przenikliwością, jaką wykazywała się Nora.

– Jeśli nie jesteś taka, jak myślisz, to jak możesz to znieść? – zapytała na koniec awantury... no, może gorącej dyskusji.

– Nie mam większego wyboru – odparła Nora. – Ale to przynajmniej oznacza, że wiem, nad czym muszę pracować. I znowu zaczynam. Jestem pewna, że znasz swoje wady, Louise. Większość ludzi w głębi duszy je zna. To pierwszy krok.

Wciąż chcąc przekonać Norę o wartości aktorstwa, Louise powołała się na takich mistrzów jak Szekspir, Czechow i Bach. (Bacha dodała przebiegle, bo wiadomo, że był religijny). „Chyba nie sądzisz, że będziesz taka jak któryś z nich!”, odparła Nora i Louise się uciszyła. Ponieważ jej mała skryta część była pewna, że właśnie taka będzie – a przynajmniej jak Bernhardt albo Garrick (zawsze marzyła o męskich rolach). Klótnia, tak jak każda inna z kimkolwiek innym, pozostała nierozwiązana, co utwierdziło ją w przekonaniu, co chce robić, a Norę jeszcze bardziej upewniło, że kuzynka nie powinna tego chcieć.

– Cały czas mnie osądzasz! – krzyknęła Louise.

– Ty mnie też – odparowała Nora. – Ludzie tak robią. Zresztą nie wiem, czy chodzi o osądzanie. To raczej porównywanie ze standardami. Cały czas robię to wobec siebie.

– I oczywiście zawsze dorównujesz standardom.

– Oczywiście, że nie!

Towarzyszące temu niewinne spojrzenie Nory zamknęło usta Louise. Chwilę później jednak, patrząc na gęste, krzaczaste brwi kuzynki i nikły, ale niewątpliwy cień wąsika nad górną wargą, Louise uświadomiła sobie, że cieszy się, że nie wygląda jak Nora, i był to swego rodzaju osąd.

– Uważam, że jesteś dużo lepszą osobą niż ja – oznajmiła i nie dodała, że nadal woli być sobą.

Teraz, gdy skręciły na podjazd przy Mill Farm, gdzie jeszcze dwa dni temu mieszkały, Louise powiedziała:

– Tak, chyba mogłabym zostać kucharką.

W piątek rano zapadła decyzja, że wszyscy mieszkańcy Mill Farm przeniosą się do nowego nabytku Bryga, przerobionego na dość duży dom, nazwany Pear Tree Cottage ze względu na jedną sędziwą gruszę w ogrodzie. Było tu osiem sypialni, ale

ponieważ zajmowały je już Villy i Sybil, do których w weekendy przyjeżdżali mężowie, a teraz przyjechała z coroczną wizytą Jessica Castle z Raymondem (który udał się do Londynu po pannę Milliment i lady Rydal), został tylko pokój dla Lydii i Neville'a oraz dla najmłodszych, Willsa i Rolanda.

Przeprowadzka do Pear Tree Cottage zajęła cały dzień. Starsze dzieci skierowano do Home Place, gdzie ulokowały się z Rupertem i Zoë, babkami ciotecznymi i Rachel. W sobotę przybyli podopieczni z Hotelu Dzieci: dwadzieścioro pięcioro maluchów, szesnaście szkolących się opiekunek, ich przełożona i siostra Crouchback. Przyjechali dwoma autobusami, jednym prowadzonym przez Tonbridge'a, a drugim przez przyjaciółkę Rachel, Sid. Opiekunki miały spać na korce do squash'a, wyposażonym teraz w trzy toalety chemiczne Elsan i wyjątkowo oporny prysznic. Przełożona i siostra zajęły Mill Farm z dziećmi i grupą dziewcząt, które pomagały w nocy. W sobotnie popołudnie Nora zaproponowała, że razem z Louise przygotuje kolację dla szkolących się opiekunek, co zostało z wdzięcznością przyjęte przez ciocię Rachel, która nie spała od świtu i padała z nóg, usiłując sprawić, by kort stał się miejscem, gdzie ludzie mogliby nie tylko spać, ale też przechowywać swoje rzeczy osobiste. Gotowanie okazało się niezwykle trudne, ponieważ przybory kuchenne z Mill Farm przeniesiono do Pear Tree Cottage, a wyposażenie Hotelu Dzieci – dostarczone ciężarówką Cazale-tów – zawieruszyło się po drodze i znalazło się dopiero o dziewiątej wieczorem. Musiały przygotowywać posiłek w Pear Tree Cottage i Villy miała go przewieźć samochodem do Mill Farm. Oznaczało to pracę pod niemal obraźliwie protekcyjnym okiem Emily, która uważała, że damy i ich dzieci nie ugotowałyby nawet jajka, choćby od tego zależało ich życie. Nie chciała im powiedzieć, gdzie co jest, bo gubiła się w tej nerwówce i nie życzyła sobie, żeby używały jej rzeczy. Louise musiała przyznać, że Nora jest cudownie taktowna i najwyraźniej nieczuła na okazywane jej lekceważenie. Upiekły razem dwie ogromne

zapiekanki pasterskie, a Louise partię słodkich bułeczek drożdżowych, ponieważ niedawno nauczyła się je przyrządzać i była w tym wyjątkowo dobra. Kolacja została przyjęta z wdzięcznością i przełożona nazwała je dwiema małymi pomocniczkami.

Teraz, zbliżając się do domu, usłyszały płacz niemowląt. Prawdopodobnie ich poranny sen przerwało wycie syreny i przeniesienie do schronu, powiedziała Nora.

– Chociaż nie potrafię sobie wyobrazić, jak opiekunki miałyby dotrzeć tam na czas z kortu, jeśli naloty będą w nocy – dała.

Louise zadrżała na myśl o bombach spadających nie wiadomo skąd w ciemności. Czy Niemcy mogą to zrobić? Sądziła, że chyba nie, nie odezwała się jednak, bo tak naprawdę nie chciała wiedzieć.

Przełożona i ciocia Rach były w kuchni. Ta druga wypakowywała ze skrzynek po herbacie kuchenne sprzęty. Przełożona siedziała przy stole i sporządzała listy.

Jedna z opiekunek odmierzała mleko w proszku Cow and Gate z ogromnej puszki, a druga wyjąławiła butelki w dwóch garnkach na kuchence. Panowała atmosfera dobrego humoru w sytuacji kryzysowej.

– Jak mus, to mus – skomentowała przełożona.

Ma twarz opalonej królowej Wiktorii, pomyślała Louise, takie same, dość wypukłe bladoniebieskie oczy i mały dziobaty nos, ale jej pulchne gruszkowate policzki ze splekanymi żyłkami zyskały kolor doniczek. Jej figura natomiast była czysto edwardiańska – nabita jak królowej Marii. Miała na sobie granatową suknię z serży, z długimi rękawami, szeleszczący biały fartuch i wykrochmalony czepek.

– Przyszliśmy pomóc przy lunchu – oznajmiła Nora.

– Niech was Bóg błogosławi, skarby – powiedziała ciocia Rachel. – W spiżarni jest trochę jedzenia, ale jeszcze go nie uporządkowałam. Chyba gdzieś leży szynka, a Billy przyniósł salate.

– I są śliwki, które siostra namoczyła wczoraj wieczorem

– dodała przełożona. – Lubię, jak moje dziewczęta jedzą śliwki. Dzięki temu nie wydajemy fortuny na syrop figowy.

– Ale trzeba je będzie udusić – zaznaczyła Nora. – Nie wiem, czy ostygną do lunchu.

– Żebracy nie mogą wybrzydzać – skwitowała przełożona, po czym wpięła wieczne pióro w kieszeń fartucha i ciężko podniosła się z krzesła, aż zatrzeszczało jej w stawach.

Louise powiedziała, że udusi śliwki.

– Nie wyjmuj jeszcze tych butelek – przykazała przełożona opiekunce. – Jeśli parzyły się dwadzieścia minut, to jestem papięzem... Co byśmy poczęły, panno Cazalet – zwróciła się do Rachel – bez naszych małych pomocnic? Och, proszę to zostawić, panno Cazalet, dostanie pani przepukliny!

Rachel przestała szarpać się ze skrzynką po herbacie i pozwoliła, by Nora jej pomogła. Słyszały, że dzieci płaczą coraz głośniejsze.

– Pan Hitler zakłócił naszą rutynę. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała mu wysłać upomnienie. Poranek to absurdalna pora na nalot. Ale tacy są mężczyźni! – podsumowała przełożona. – Zobaczę, czy siostra zechce coś dodać do tej listy... Jest niedziela, prawda? Nie ma otwartych sklepów. Ha, lepiej późno niż wcale. – Ruszyła do drzwi, gdzie niemal zderzyła się z opiekunką, która niosła dwa wiadra parujących pieluch. – Patrz, jak idziesz, Susan. I po namoczeniu wynieś je na dwór, inaczej nikt nie będzie miał ochoty na kolację.

– Tak, proszę pani.

Wszystkie szkolące się opiekunki nosiły bawełniane sukienki w fioletoworóżowo-białe paski i czarne pończochy.

– Skarbie, pójdziesz po Sid? – poprosiła ciocia Rachel. – Przed lunchem opiekunek musimy wynieść z kuchni jak najwięcej skrzynek. Sid jest na górze, przygotowuje zaciemnienie.

* * *

Zaciemnienie wszystkich okien w trzech domach i

zamieszkiwanych budynkach gospodarczych – łącznie z kortem do squasha – nie dawało Brygowi spokoju już od kilku dni. W konsekwencji Sid i Villy zostały zmuszone do przygotowania drewnianych listew, by nabić na nie ciemny gruby materiał. Sybil, Jessica i Duszka, każda wyposażona w maszynę do szycia, zajęły się obszywaniem zasłon do tych okien, w które nie można było wstawić listew. Budowniczy Sampson pożyczył długą drabinę i kazał Billy’emu, pomocnikowi ogrodnika, pomalować dach kortu, ale ten spadł do ogromnego zbiornika na wodę, co McAlpine uznał za niezasłużony łut szczęścia, bagatelizując złamaną rękę i dwa wybite przednie zęby chłopaka. Sampsonowi polecono zająć się dachem i wieloma innymi rzeczami, więc do sobotniego poranka, kiedy mieli przybyć podopieczni i personel Hotelu Dzieci, nie poczyniono większych postępów. Teddy, Christopher i Simon zostali okręceni linami i pomagali jednemu z ludzi Sampsona przy stawianiu rusztowania, a następnie pokryciu spadzistego szkła ciemnozieloną farbą. W tym czasie w dusznym i ciemniejącym wnętrzu Rachel i Sid rozkładały łóżka polowe, a nadąsani Lydia i Neville przyglądali się temu z galerii (mieli być gośćcami, ale ciocia Rach ich zawiodła, bo nie pomyślała o wystarczającej liczbie wiadomości). W tę sobotę wszyscy ciężko pracowali, z wyjątkiem Polly i Clary, które rano pojechały autobusem do Hastings...

- Kogo spytałaś? – zwróciła się do kuzynki Polly.
 - Nie pytałam nikogo – odparła Clary. – Ale powiedziałam Ellen.
 - Wspomniałaś, że ja też jadę?
 - Tak. Powiedziałam: „Polly chce jechać do Hastings, więc jadę z nią”.
 - Przecież ty też chciałaś jechać.
 - Pewnie, że tak, inaczej by mnie tu nie było, prawda?
 - Dlaczego nie powiedziałaś, że obie chcemy jechać?
 - Nie pomyślałam.
- ’To oznaczało, że Clary jest nieuczciwa, czego Polly nie

lubiała, ale doświadczenie nauczyło ją, że mówienie tego na głos sprowokuje awanturę, a skoro miał to być ostatni dzień pokoju, nie chciała, żeby zepsuły go kłótnie.

Mimo to dzień nie mijął dobrze. Polly chciała wykrzesać w sobie entuzjazm do tego, co będą robić, żeby nie mieć czasu na myślenie o tym, co może się wydarzyć. Poszły do Jepson's, ich ulubionego sklepu, ale kiedy Polly zobaczyła, że kuzynka bez końca zastanawia się, które wieczne pióro kupić (jednym z celów tej wycieczki było wydanie urodzinowych pieniędzy Clary), ogarnęło ją zniecierpliwienie i złość, że przywiązuje tak wielką wagę do czegoś tak błahego.

– Z początku zawsze są skrzypiące i twarde – powiedziała. – Wiesz, że stalówka jest najważniejsza.

– Wiem – potwierdziła Clary. – Ale jeśli teraz kupię szeroką, pewnie będzie za szeroka, a średnia nigdy nie wydaje się dobra.

Polly spojrzała na sprzedawcę, młodego mężczyznę w wyświechtanym garniturze, obserwującego Clary, gdy ta oblizywała kolejne stalówki, po czym zanurzała pióro w kałamarzu i pisała swoje imię na leżących na ladzie karteluszkach. Nie wyglądał na zniecierpliwionego. Był znudzony i wydawało się, że to jego najczęstszy wyraz twarzy.

Stały w dziale papierniczym księgarni – mało uczęszczanym, gdyż sprzedawano tu tylko papier listowy i wieczne pióra, a poza tym drukowano różne rzeczy, jak adresy na papierze listowym, wizytówki czy zaproszenia ślubne.

– Bardzo ważne jest polizanie nowych stalówek przed użyciem – powiedziała Clary – ale spodziewam się, że mówi pan o tym klientom. Mogę wypróbować watermana, tego bordowego?

Pióro kosztowało dwanaście szylingów i sześć pensów, więc Polly wiedziała, że kuzynka go nie kupi. Obserwowała mężczyznę, podczas gdy Clary prosiła go o kolejne pióra, aż w końcu oderwał od niej spojrzenie i po prostu zapatrzył się w dal. Pewnie martwił się, czy będzie wojna.

– Co widzi się oczami wyobraźni? – zapytała.

– Nie patrzę nimi, kiedy wypróbuję pióra – odparła Clary ze złością.

– Nie ciebie pytam.

Obie spojrzały na sprzedawcę. Ten odchrząknął, przesunął dłonią po obficie natartych brylantyną włosach i powiedział, że nie wie, o co jej chodzi.

– Nie dziwię się panu – oznajmiła Clary. – Wezmę średnią...

– Należy się siedem szylingów i sześć pensów – mruknął i Polly widziała, że nie może się doczekać, kiedy wyjdą.

Na zewnątrz trochę się pokłóciły o to, co Clary uznała za jej idiotyczną uwagę.

– W najlepszym razie pomyślał, że traktujesz go protekcyjnie – powiedziała.

– Wcale go tak nie traktowałam – obruszyła się Polly.

– On sądził, że tak.

– Zamknij się!

Clary spojrzała na przyjaciółkę... właściwie na kuzynkę, bo teraz nie uważała jej za przyjaciółkę.

– Wybacz – rzuciła. – Rozumiem, że jesteś zdenerwowana. Uszy do góry. Jeszcze może być dobrze. Pomyśl o zeszłym roku.

Polly pokręciła głową. Zmarszczyła brwi i nagle upodobniła się do cici Rachel w tych chwilach, kiedy ta próbowała nie płakać przy muzyce Brahmsa.

– Wiem, o co chodzi – podjęła łagodnie Clary. – Nie tylko o to, że chcesz, żebym cię zrozumiała. Chcesz, żebym czuła to samo. Mam rację?

– Chcę, żeby ktokolwiek to czuł!

– Wydaje mi się, że obaj nasi ojcowie to czują.

– Tak, ale problem z nimi polega na tym, że dzielają nasze uczucia tylko do pewnego momentu – odparła Polly.

– Wiem, co masz na myśli. Jakby nasze uczucia były wielkości naszego ciała, czyli mniejsze. To idiotyczne z ich strony. Pewnie już nie pamiętają, że kiedyś sami byli dziećmi.

– Nie w ich wieku! Nie sądzę, żeby sięgali pamięcią dalej niż

jakieś pięć lat wstecz.

– Postaram się im przypomnieć – oznajmiła Clary. – Oczywiście wykorzystują to, że są za nas odpowiedzialni.

– Odpowiedzialni, akurat! – zawołała Polly. – Nie potrafią nawet zapobiec tej koszarnej wojnie, która może zabić nas wszystkich! Dla mnie to największy brak odpowiedzialności!

– Znowu się denerwujesz. Co teraz będziemy robić?

– Wszystko mi jedno. Co ty chcesz?

– Kupimy zeszyty i prezent dla Zoë na urodziny – zdecydowała Clary. – I mówiłaś, że chcesz kupić trochę wełny. Możemy zjeść pączki na lunch. A może fasolę w sosie pomidorowym?

Obie bardzo lubiły fasolę w sosie pomidorowym, którą Simon i Teddy często dostawali w szkole, ale w domu nigdy jej nie podawano, bo uważano, że to jedzenie pospółstwa.

Szły w kierunku promenady. Wokół nie było wielu wczasowiczów, choć zobaczyły kilka osób na skrawku plaży, siedzących niewygodnie na kamykach, plecami do srebrzystych drewnianych falochronów; jedli kanapki albo lody, wpatrując się w szarozielone morze, które falowało w bezcelowy, tajemniczy sposób.

– Chcesz się wykąpać? – spytała Clary.

Polly wzruszyła ramionami.

– Przecież nie zabrałyśmy strojów – odparła.

Clary wiedziała, że to nie powstrzymałoby kuzynki, gdyby naprawdę chciała się wykąpać. Dalej za tym skrawkiem plaży kilku żołnierzy zdejmowało z ciężarówki ogromne zwoje drutu kolczastego i kładło je w regularnych odstępach wzdłuż brzegu, gdzie stało coś, co wyglądało jak szereg betonowych słupów.

– Chodźmy coś zjeść – powiedziała Clary.

Wzięły fasolę w sosie pomidorowym, tosty, cudownie mocną indyjską herbatę (w domu jej nie dostawały), a do tego po pączku z dżemem i rurce z bitą śmietaną. To jakby rozweseliło Polly i zaczęły paplać o całkiem zwyczajnych sprawach, na przykład o tym, kogo chciałyby poślubić. Według Polly miło byłoby

wyjść za odkrywcę, który bada gorące strefy Ziemi, bo nienawidziła śniegu i lodu, i oczywiście towarzyszyłaby mu w wyprawach. Clary oświadczyła, że wolałaby malarza, bo to pasowałoby do pisania książek, a dzięki tacie wiedziała co nieco o malarzach.

– Poza tym malarze zbyt nie przejmują się wyglądem. To znaczy ludzkie twarze podobają im się z zupełnie innych powodów, więc nie miałby nic przeciwko mojej.

– Jesteś ładna – zapewniła ją Polly. – Masz piękne oczy, a oczy są najważniejsze.

– Ty też.

– Wcale nie, moje są o wiele za małe. Naprawdę okropne. Ciemnoniebieskie guziczki do butów.

– Ale masz cudowną cerę, taką białą i bladoróżową, jak bohaterka powieści. Czy zauważyłaś – ciągnęła z rozmarzeniem Clary, zlizując z palców resztki bitej śmietany – jak pisarze rozdają się nad wyglądem swoich bohaterek? To musi być okropne dla panny Milliment, kiedy czyta takie opisy, wiedząc, że nigdy nie mogłaby być jedną z nich.

– Nie każda jest piękna jak poranek – zauważyła Polly. – Pomyśl o Jane Eyre.

– I dopisało ci ogromne szczęście z włosami. Chociaż miedziane jakby gasną z wiekiem – dodała Clary, myśląc o matce kuzynki. – Bardziej przypominają marmoladę. Och, Jane Eyre! Pan Rochester bez przerwy powtarza, że jest taka bajeczna i drobna. To genialny sposób na powiedzenie, że wygląda uroczo.

– Ludzie są ciekawi takich rzeczy. Mam nadzieję, że nie będziesz zbyt nowoczesna w swoim pisaniu, Clary. Nie pisz tak, żeby nikt nie wiedział, o co chodzi. – Polly świsnęła *Ulisses*a z biblioteczki matki i stwierdziła, że bardzo trudno jej przebrnąć przez tę lekturę.

– Będę pisać po mojemu – oznajmiła Clary. – Nie należy mi mówić, jak mam pisać.

– W porządku. Chodźmy po resztę rzeczy.

Lunch kosztował cztery szylingi i sześć pensów, czyli więcej,

niz się spodziewały, i Clary wspaniałomyślnie zapłaciła za kuzynkę.

– Możesz się odwdzińczyć w swoje urodziny – powiedziała.

– Myślę, że panna Milliment już do tego przywykła. I że chęć wyjścia za mąż dość szybko przemija.

– Jejku! Naprawdę?! – wykrzyknęła Clary. – W takim razie nie sądzę, że wyjdę za mąż. Nie mam już do tego przekonania, a kobiety po dwudziestce starzeją się bardzo szybko. Spójrz na Zoë.

– Smutek postarza ludzi.

– Wszystko postarza. Wiesz, co lady Knebworth, przyjaciółka cioci Villy, powiedziała Louise? – Polly milczała, więc Clary wyjaśniła: – Powiedziała jej, żeby nigdy nie unosiła brwi, bo będzie miała zmarszczki na czole. Warto, żebyś o tym pamiętała, bo zawsze marszczysz brwi, kiedy próbujesz myśleć. – Kiedy wyszły z herbaciarni, zapytała: – Co mam jej kupić na urodziny?

– Cioci Zoë? Nie wiem. Może mydło albo sól do kąpieli, albo kapelusz.

– Nie można kupować ludziom kapeluszy. Lubią tylko te okropne, które sami wybrali. Czy to nie dziwne? – kontynuowała Clary, gdy wracały z promenady, idąc w stronę sklepów. – Kiedy widzisz, jak ludzie w sklepach wybierają ubrania, buty i inne rzeczy, zajmuje im to całe wieki, jakby każda wybrana przez nich rzecz była zdumiewająca i doskonała. A potem spójrz na nich. W większości wyglądają okropnie albo po prostu zwyczajnie. Równie dobrze mogliby brać rzeczy na chybił trafił.

– Lada chwila wszyscy będą nosić mundury – odezwała się ze smutkiem Polly, która najwyraźniej znowu wpadła w przygnębienie.

– Myślę, że to interesująca uwaga – mruknęła Clary, trochę urażona. – Sądzę, że można ją zastosować do innych aspektów życia i okaże się poważną refleksją nad naturą ludzką.

– Moim zdaniem natura ludzka jest do bani. Gdyby było inaczej, nie groziłaby nam wojna. Chodźmy po wełnę i inne

rzeczy i wracamy do domu.

Kupiły mydło Morny Rose Geranium dla Zoë i zeszyty ćwiczeń, a Polly zdecydowała się na hiacyntową wełnę na sweter. Później poszły do autobusu.

* * *

W tę sobotę po lunchu Hugh i Rupert wybrali się do Battle, wyposażeni w imponująco długą listę zakupów. Rupert zgłosił się na ochotnika do tego zadania, a Hugh, po sprzeczce z Sybil, zaproponował, że będzie mu towarzyszyć. Ze wszystkich trzech domów zebrali listy zawierające liczne i zróżnicowane pozycje i wyruszyli, Rupert za kierownicą vauxhalla, którego kupił po tym, jak w styczniu dołączył do firmy ojca.

– Będziemy wyglądać cholernie głupio, jeśli mimo wszystko utrzyma się pokój – zauważył. Odpowiedziała mu cisza, popatrzył więc na brata.

Hugh odwzajemnił spojrzenie.

– Nie będziemy wyglądać głupio – odparł.

– Boli cię głowa?

– Nie. Właśnie się zastanawiałem... – zaczął Hugh.

– Nad czym?

– Nad tym, o czym mówisz.

– No tak... Pomyślałem, że spróbuję zaciągnąć się do marynarki – oznajmił Rupert.

– Sądzę, że możesz.

– Ale wtedy zostaniesz sam, prawda?

– Będę miał Starego – odrzekł Hugh.

Zapadła cisza. Po tych miesiącach, które spędził w firmie, Rupert wiedział, że ojciec jest uparty i autokratyczny. Edward umiał sobie z nim radzić, natomiast Hugh, gdy nie zgadzał się z jakimś zarządzeniem, stawiał Brygowi czoło z bezpośredniością i zawziętą szczerością; nie miał zdolności do manipulacji czy też taktu, jak czasem to nazywano. Między nim a ojcem dochodziło do sprzeczek, najczęściej kończących się niełatwym kompromisem,

który nie przynosił korzyści nikomu – a najmniej firmie. Rupert, który wciąż uczył się podstaw, nie mógł być nikim więcej niż niechętnym świadkiem, a tego lata, kiedy Edward uczestniczył w kursie dla ochotników, sytuacja wydawała się znacznie gorsza. Edward co prawda wrócił, lecz czekał już na powołanie. Rupert, który podjął decyzję o rozpoczęciu pracy w firmie mniej więcej wtedy, gdy Zoë zaszła w ciążę, wciąż zastanawiał się, czy dokonał słusznego wyboru. Pracę nauczyciela plastyki zawsze uważał za tymczasową, za coś w rodzaju praktykowania, zanim zostanie pełnoetatowym malarzem; praca biznesmena całkowicie wykluczała malowanie. Ekscytowała go perspektywa nieuchronnej wojny, ponieważ uważał, że wojna pozwoli mu uciec, choć nie mógł się do tego przyznać – nawet przed samym sobą.

– Ale będzie mi ciebie brakować, staruszku – powiedział Hugh z wystudiowaną lekkością, co nagle wzruszyło Ruperta: Hugh, podobnie jak ich siostra Rachel, zawsze zachowywał się beztrudnie, gdy był czymś bardzo przejęty.

– Oczywiście mogą mnie nie przyjąć – zaznaczył Rupert. Nie wierzył w to, ale było to największe pocieszenie, jakie zdołał wymyślić.

– Pewnie, że cię przyjmą – odparł Hugh. – Żałuję, że sam nie mogę być bardziej użyteczny. Ci biedni cholerni Polacy. Gdyby Rosjanie nie podpisali tego paktu, nie sądzę, by odważył się być tam, gdzie jest.

– Hitler?

– Jasne, że Hitler. Cóż, zyskaliśmy dodatkowy rok. Mam nadzieję, że dobrze go wykorzystaliśmy.

– Zaparkuję przed Till's, dobrze? – rzucił Rupert. – Wygląda na to, że mamy tam do zrobienia od cholery zakupów.

W ciągu godziny kupili cztery tuziny słoików Kilnera, srodek dezynfekujący Jeyes Fluid, parafinę, dwadzieścia cztery małe latarki z zapasowymi bateriami, trzy ocynkowane wiadra, ogromne ilości zielonego mydła Lux, cztery prymusy, kwartę spirytusu metylowego, sześć termoforów, dwa tuziny żarówek,

funt półcalowych gwoździ i dwa funty cynowych pinesek. Chcieli kupić belę materiału zaciemniającego, ale w sklepie zostały tylko trzy jardy.

– Lepiej je kup – zwrócił się Hugh do brata.

Wzięli jeszcze sześć szpilek czarnych nici i pakiecik igieł do maszyn do szycia. W aptece kupili wodę koperkową, mleczko magnezjowe, olejek dla dzieci, mydło Vinolia, szampon Amami, mączkę ararutową i sole na niestrawność. Rupert wybrał szylkretową spinkę do włosów – wyjaśnił, że to dla Clary, która zapuszcza grzywkę i wygląda jak wierny pies. Odebrali dwa pudełka artykułów spożywczych zamówionych przez Duszkę i Villy. Dołożyli papierosy Goldflake i Passing Cloud – dla Villy i Rachel. Rupert wziął „Tatlera” dla Zoë, a Hugh dla Sybil *How Green Was My Valley* – uwielbiała czytać najnowsze książki, a ta miała dobre recenzje. Jeszcze raz sprawdzili listę i zobaczyli, że sklep nie uwzględnił zamówienia na wodę Malvern dla Duszki.

– Coś jeszcze? – zapytał Hugh.

– Coś, co wygląda jak osiem różdżek? – podsunął Rupert.

– Owczy mózdzek – oznajmił Hugh ze znajomością tematu. – Dla Willsa. Sybil myśli, że mały umrze, jeśli raz w tygodniu nie zje mózdzku.

Poszli więc do rzeźnika i ten powiedział, że właśnie dzwoniła starsza pani Cazalet z pytaniem o ozory wołowe, i tak się składa, że jeden mu został; niedawno włożył go do solanki, więc nie wymaga długiego moczenia, o czym warto powiadomić kucharkę.

– Jeśli pan tak uprzejmy – dodał.

Przyzwyczaił się, że po mięso przychodzi pan Tonbridge, a panie zaglądną tylko czasami. Jeśli potrzebował czegoś, co utwierdzi go w przekonaniu, że wszystko jest niby tak jak dawniej, to właśnie widok mężczyzn robiących zakupy, pomyślał, zawijając mózdzki najpierw w papier pergaminowy, a potem w szary. Pomocnik zamiatał podłogę – zaraz zamykali – i pracodawca musiał mu ostro przykazać, by uważał, żeby nie pobrudzić trocinami spodni panów.

Na ulicy było więcej ludzi niż zwykle. Kilka ciężarnych matek z dziećmi o ziemistych twarzach błąkało się tam i z powrotem, ze smutkiem patrząc w witryny sklepowe.

– Ewakuanci – powiedział Rupert. – Chyba mamy szczęście, że nie trafili do nas. Hotel Dzieci jest o wiele łatwiejszy. Te niemowlaki przynajmniej nie mają gnid ani wszy, nie narzekają, że jest za cicho i że nie mogą jeść.

– Tak robią ci ewakuanci?

– Tak mówi Sybil, która słyszała to od pani Cripps, pani Cripps od pana Yorcka, a on od panny Boot.

– Dobry Boże!

Kiedy wsiedli do załadowanego samochodu, Hugh zwrócił się do brata:

– Co sądzisz o zostawieniu dzieci tam, gdzie są?

– Chodzi ci o naszą gromadkę? – spytał nieco zaskoczony Rupert.

– Tak.

– A gdzie indziej mogą się podziać? Z pewnością nie mogą być w Londynie.

– Moglibyśmy wysłać je w głąb kraju – zasugerował Hugh. – Dalej od wybrzeża. Załóżmy, że dojdzie do inwazji.

– Szczerze? Nie sądzę, żebyśmy mogli wybiegać tak daleko w przyszłość. Zapal mi papierosa, dobrze? – poprosił Rupert. – A co myśli Sybil?

– Czuje się trochę zagubiona. Chce przyjechać do Londynu, by wziąć mnie pod swoje skrzydła. Naturalnie nie mogę na to pozwolić. Prawie się pokłóciliśmy – oznajmił Hugh, jakby zdumiony tym niezwykłym faktem. – W końcu się uciszyła, bo powiedziałem, że zamieszkam z tobą. Nie zamierzam, rzecz jasna – dodał. – Wiem, że nie będzie cię w Londynie. Ale ona nie wie. Ma trochę napięte nerwy. Lepiej, żeby rodzina trzymała się razem. A ja mogę przyjeżdżać tu w weekendy.

– Nie zamkniesz domu?

– Zobaczymy. To zależy od tego, czy uda mi się znaleźć

kogoś, kto się mną zajmie. Jeśli nie, zawsze mogę stołować się w klubie. – Hugh już widział te niekończące się ponure wieczory i kolacje z ludźmi, z którymi tak naprawdę nie chciał mieć do czynienia.

Rupert znał zwyczaje brata domatora i przez chwilę wyobrażał sobie, jak biedny stary Hugh siedzi samotnie w klubie.

– Zawsze możesz jeździć tam i z powrotem pociągiem ze Starym – powiedział.

Hugh pokręcił głową.

– Ktoś musi być w Londynie w nocy. Wtedy będą rzucać bomby. Nie mogę zostawić chłopaków, żeby sami radzili sobie na nabrzeżu.

– Będzie ci brakować Edwarda, prawda? – zapytał Rupert.

– Będzie mi brakować was obu. Ale stary ramol nie może grymasić.

– Ktoś musi dogłądać interesu.

– Właściwie, staruszkule, myślę, że ludzie bardziej by mnie lubili, gdybym dawał im popalic – powiedział Hugh. A po chwili dodał: – Jesteś jedyną znaną mi osobą, która tak tubalnie się śmieje.

– To okropne, prawda? W szkole przezywano mnie Fabryką.

– Nie miałem o tym pojęcia.

– Przez większość czasu cię nie było.

– Cóż, wkrótce będzie na odwrót – zauważył Hugh.

Wzruszony jego tonem, zarazem gorzkim i pokornym, Rupert odruchowo zerknął na czarny kikut spoczywający na kolanie brata. Boże! Pomyśl o życiu bez lewej ręki, bo ktoś ją odstrzelił. Na szczęście to lewa ręka. Ale ja jestem leworęczny; dla mnie byłoby gorzej. Lekko zawstydzony swoim egocentryzmem, chcąc, by Hugh poczuł się lepiej, powiedział:

– Twoja Polly jest perłą. I z każdym dniem robi się coraz ładniejsza.

Hugh natychmiast się rozpromienił.

– Prawda? Tylko, na litość boską, nie mów jej tego.

– Nawet o tym nie pomyślałem – odparł Rupert. – Chociaż właściwie dlaczego miałbym nie powiedzieć? Ja często mówię takie rzeczy.

Hugh otworzył usta, żeby zaznaczyć, że to co innego, ale zaraz je zamknął. Jego zdaniem mówienie ludziom, że są piękni, gdy rzeczywiście są, było najzupełniej w porządku; w przeciwnym razie lepiej ugryźć się w język.

– Nie chcę, żeby Polly coś się ubzdurało – rzucił niejasno.

Rupert, wiedząc, że przez brata przemawia cazaletowski syndrom wyższości, z którym on także się wychował, uznał, że lepiej – czy może łatwiej – się z tym zgodzić.

– Oczywiście – przytaknął.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).